

Czy rozum jest w cenie?

"Przecież wiesz, mój synu, w jak małym stopniu świat rządzi się rozumem" (w oryginale: *An nescis, mi fili, quantilla prudentia mundus regatur?*) – w ten sposób kanclerz Axel Oxenstierna, największy chyba mąż stanu w XVII wieku i jeden najwybitniejszych umysłów epoki, uspokajał swego syna, który powątpiewał, czy on, niedoświadczony młokos, powinien brać udział w obradach na temat ważnych spraw ustrojowych. Mimo iż od wypowiedzenia tych słów upłynęło 365 lat, nie straciły one, niestety, na aktualności. Wręcz przeciwnie, przełom XX i XXI wieku charakteryzuje się niespotykaną dotąd pogardą dla rozumu i będącej jego wyrazem logiki.

W latach 1990. media żyły procesem O.J.Simpsona, amerykańskiego sportowca i bożyszcza tłumów, który zabił dwie osoby. Dowody zbrodni były niezbite i obejmowały m.in. ślady krwi, potwierdzone za pomocą DNA. Jednak O.J.Simpson miał ciemną skórę, więc można było rozwinąć wątek rasistowski, który rzeczywiście został po mistrzowsku wykorzystany przez adwokatów mordercy. O.J.Simpson – jako ofiara systemu – nie mógł być winny, więc został uniewinniony jednogłośnym werdyktem ławy przysięgłych. Niektórzy politycy, pomimo konsternacji, skwitowali wynik procesu jakimś post-modernistycznym bełkotem, jednak media nie kryły zdumienia. W wywiadzie z członkiem ławy przysięgłych dziennikarz dopytywał się, jak to było możliwe, że dwanaście osób zignorowało dowody winy oparte na badaniach DNA. Indagowany odpowiedział krótko: "This DNA evidence was so boring" (*Ta argumentacja oparta na DNA była taka nudna*).

Pogarda dla logiki nie jest nowa. Jest odmianą starej jak świat niewiary w rozum tam, gdzie ów rozum miałby coś do powiedzenia. Jest ona swoistą postawą religijną. Gardząc logiką albo ignorując dostępny materiał empiryczny, można *a priori* uznawać pewne stwierdzenie, bagatelizować racje, które by mu przeczyły i poszukiwać argumentów na to, by je jakoś uzasadnić. Innymi słowy, wiara o charakterze religijnym nie wymaga rozumu, aby znaleźć uzasadnienie. Nie jest to nic zdrożnego, pod warunkiem, że ma się dystans do swego światopoglądu i rozróżnia to, co wynika z apriorycznych przekonań, a co wynika z rozumu. Niemal każdy człowiek ma jakieś aprioryczne przekonania. Problem dopiero zaczyna się wówczas, gdy miesza się je z poznaniem naukowym.

Podręcznikowym przykładem aprioryczności przekonań jest reakcja wyznawców jakichś religii niechrześcijańskich na argumentację Michała Boyma, lwowskiego zakonnika, który – podobnie jak Marco Polo – kilkaset lat temu podróżował po Persji, Indiach i Chinach. Jako dobrze wykształcony duchowny katolicki dysponował wyrafinowaną wiedzą filozoficzną i potrafił swoich rozmówców wprawiać w zakłopotanie. Po którejś z takich dysput teologicznych, zmartwieni słuchacze stwierdzili, że istotnie ich kapłani nie umieli odpowiedzieć na pytania Boyma. Ale – kontynuowali – gdyby tylko zamiast nich zjawił się ktoś wyżej stojący w hierarchii, to by na pewno umiał. Tak więc przekonanie o prawdziwości ich religii jest aprioryczne. Coś, co by je podważało nie zostaje przyjęte do wiadomości.

Podobną strukturę ma wiara wyznawców tzw. religii smoleńskiej. Stwierdzenie, że prezydent padł ofiarą zbrodniczego spisku jest aprioryczne. Argumenty są wtórne. Początkowo religia ta posługiwała się argumentem o rozpyleniu sztucznej mgły. Kiedy nie dało się tego już dłużej utrzymać, pojawił się argument, iż Tusk z Putinem dmuchali helem. Kiedy i to padło, zaczęto

mówić, że Ruskie w internecie wstawili brzozę, której tam nie było. Jako czwarty z kolei pojawił się argument, że w samolocie był wybuch. Ta gonitwa pomysłów nie będzie miała końca, ponieważ stwierdzenie o zbrodniczym spisku jest aprioryczne, a więc nie może być podważone za pomocą jakiegokolwiek racjonalnego argumentu.

Rzekoma sensowność europejskiej polityki "klimatycznej" opartej na idei jednostronnych redukcji emisji dwutlenku węgla jest również przykładem sądu apriorycznego. Jest ona dla ochrony klimatu szkodliwa, bowiem rozwiązać problem mogłoby tylko porozumienie globalne, którego wciąż nie ma. Ale wyznawcy nie chcą tego przyjąć do wiadomości, tylko poszukują kolejnych argumentów za jednostronnymi redukcjami. Jeśli więc powiedzieć, że ograniczenie emisji w Europie skutkuje wzrostem emisji gdzie indziej (tzw. *carbon leakage*), to obrońca natychmiast ripostuje, iż *carbon leakage* nie istnieje, bo zamykanie fabryk np. we Francji i ich odtwarzanie np. w Chinach zdarza się bardzo rzadko. Rzeczywiście tak jest, ale *carbon leakage* dokonuje się nie tylko w ten sposób, ale za pomocą paru innych mechanizmów, które zostały już przez ekonomistów zbadane i udokumentowane. Pojawia się wtedy drugi argument, iż Europa powinna ponieść karę (tzw. *historical responsibility*) za swój beztroski rozwój kosztem innych w XIX wieku. Koncepcja ta nie ma wielkiego sensu z punktu widzenia ochrony klimatu, ponieważ cała dziewiętnastowieczna emisja Wielkiej Brytanii jest znikoma w porównaniu z aktualnymi emisjami "azjatyckich tygrysów". Ale zaraz pojawia się wtedy trzeci argument, iż ktoś powinien dawać dobry przykład, co w starciu z realiami negocjacyjnymi brzmi dość komicznie. I tak dalej. Idea jednostronnych redukcji jest nonsensowna, ale – jako aprioryczna – nie podlega rozumowemu osądowi.

Albo przykład innego apriorycznego stwierdzenia, które nie może być zweryfikowane empirycznie. "Polacy są najgorszymi na świecie antysemitami". A oto dowód: nie przypadkiem Hitler zlokalizował właśnie w Polsce komory gazowe. Jeśli wyjaśnić, że lokalizacja komór w Polsce, gdzie mieszkała największa populacja żydowska, była uzasadniona efektywnością ekonomiczną (do której Niemcy przywiązywali duże znaczenie), to pojawia się drugi dowód. Polacy donosili Niemcom o ukrywających się Żydach. Jeśli wyjaśnić, że skala donosicielstwa była w Europie zachodniej większa niż w Polsce, to jest i trzeci dowód. Istniejące w Polsce przyzwolenie społeczne dla mordowania Żydów nie miało precedensu w Europie zachodniej. Można wyjaśniać, że władze niemieckie – inaczej niż w pozostałych okupowanych krajach – w Polsce szczególnie drastycznie reagowały na ukrywanie Żydów (rozstrzeliwano wszystkich domowników), zaś polskie władze konspiracyjne bezwzględnie surowo karały za wydawanie Żydów Niemcom (udokumentowane przypadki kończyły się wyrokami śmierci), ale nie ma to większego sensu, bo zaraz pojawi się kolejny "dowód". Po prostu jest to typowe stwierdzenie aprioryczne, wobec którego rozum nie ma zastosowania.

Jeden z moich kolegów uczy matematyki na uniwersytecie amerykańskim. Jego opowiadania to osobny rozdział. Tu jednak przestaną na jednej tylko historii, która dobrze ilustruje aktualne miejsce rozumu. Jeden ze studentów zakwestionował nie zaliczenie rozwiązania, które napisał na egzaminie. Kolega wyjaśnił mu, że jego rozwiązanie było błędne; na zajęciach podana została metoda, za pomocą której należało rozwiązywać. Student jednak spokojnie stwierdził, że wykładowca stosuje swoją metodę, on zaś stosuje inną. Wykorzystując swoją metodę, otrzymał inny wynik, choć przecież tak samo dobry. Argumentacja jest absurdalna, ale chyba nieprzypadkowa. Student zapewne uwierzył w to, co słyszy na co dzień, że nie ma jednej prawdy, tylko każdy ma coś ważnego do powiedzenia, zaś słuchacze powinni się nad każdą prawdą z szacunkiem pochylić. Być może nikt go wcześniej z tego przekonania nie wyprowadził.

Być może zachowania ludzkie zawsze cechowały się pewną dozą irracjonalności. Tylko teraz rzuca się to w oczy, bo racjonalność wydaje się łatwiejsza do urzeczywistnienia. W końcu Leonardo da Vinci argumentował, że powierzchnia Księżyca pokryta jest wodą, a nie był przecież głupcem. Nawet najlepsi lekarze leczyli kiedyś za pomocą spuszczenia krwi. Obecny postęp nauki jest tak ogromny, że pewne rzeczy, które niegdyś mogły wydawać się sensowne, teraz wzbudzają odruch politowania. Tymczasem nie należy aktualnej wiedzy wykorzystywać dla oceny racjonalności dawnych zachowań. Być może to, co jawi się nam jako irracjonalne, w swoim czasie miało jakieś uzasadnienie naukowe; tyle że nauka była znacznie mniej zaawansowana. Irracjonalność powinna być oceniana przez pryzmat wiedzy, która jest aktualnie dostępna. Z tego punktu widzenia przełom XX i XXI wieku w krajach zamożnych rzeczywiście wydaje się dość dziwny.

Nie wolno jednak załamywać rąk i uważać się nad pogardą dla rozumu i logiki. Jest jak jest. Ludzie ignorują racjonalność, ale na swój sposób chcą dobra. Pytanie tylko, czy da się to dobro osiągnąć przy bardzo ułomnym wykorzystaniu rozumu i logiki. Pytanie to ma co najmniej dwa aspekty: globalny i lokalny. Pierwszy dotyczy organizacji świata i – mimo iż ważny i ciekawy – nie będzie tu omawiany. Drugi dotyczy organizacji nauczania na Wydziale Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego.

Często kończymy swoje wywody stwierdzeniem, że sprawy są złożone, powinny być przeanalizowane z różnych punktów widzenia i nie ma jednej odpowiedzi. Trudno udawać, że jest inaczej. Rzeczywistość – a zwłaszcza rzeczywistość gospodarcza – jest skomplikowana. Ale trzeba zachować równowagę pomiędzy zdrowym dystansem a możliwością formułowania konkretnych sądów. W szczególności, sceptycyzm nie może uzasadniać negowania sensowności abstrakcji.

Autorytet Arystotelesa był niezwykły. Przez dwa tysiące lat, albo i dłużej, jego stwierdzenia stanowiły nie tylko punkt odniesienia, ale i wyrocznię w wielu sprawach, nawet tam, gdzie mylił się w sposób ewidentny (jak w np. w opisie budowy szczęki konia). Arystoteles może być uznany za ojca swego rodzaju "poprawności politycznej". Na każdy temat potrafił wypowiedzieć się inteligentnie i w sposób dający możliwość wielorakiej interpretacji. Nawet różne teorie pieniądza (nominalistyczna i kruszcowa) mogą zostać wywiedzione z pism Arystotelesa. Otóż Arystotelesowi udało się wstrzymać rozwój fizyki na dwa tysiące lat. Nauczał – i wszyscy to za nim powtarzali – że ruchu nie da się zbadać, jest bowiem dialektycznie sprzeczny. Jeśli coś leci w jakimś kierunku, to podlega oporowi, który temu lotowi przeciwdziała. Jego zdaniem ruch jest zjawiskiem tak skomplikowanym, że nie da się go analizować metodami naukowymi.

Dopiero Newton odważył się systematycznie zbadać to, co według Arystotelesa było niemożliwe do zbadania. Sformułował założenia, które natychmiast można byłoby uznać za prostackie. No bo, jak na ciało może nie działać żadna siła? Albo, jak to jest możliwe, że masa ciała jest skupiona w jednym punkcie? Przecież każdy wie, że jest inaczej! A jednak dzięki swojej odwadze i umiejętnościom Newton przerwał zapoczątkowany przez Arystotelesa impas i uruchomił wspaniały, trwający do dziś rozwój fizyki.

Skuteczność podejścia Newtona powinna stanowić inspirację dla wszystkich, którzy parają się nauką. Abstrakcja, rozumiana jako pominięcie mniej istotnych szczegółów, i umiejętność uogólniania stanowią niezbędne składniki jakiejkolwiek analizy naukowej. Abstrakcja jest oczywiście trudniejsza w naukach społecznych niż w mechanice klasycznej, ale jest

nieunikniona. Jednocześnie bywa wyśmiewana, co może onieśmielać i popychać w kierunku gromadzenia materiału faktograficznego, które jest wprawdzie niezbędnym składnikiem poznania, ale nie zastąpi naukowej refleksji. Czy nauczamy w sposób zapewniający równowagę pomiędzy abstrakcją a empirią?

Nie umiałbym odpowiedzieć na to pytanie, choć chętnie podzielę się pomysłami, jak można byłoby taką równowagę zapewnić.

Przede wszystkim nie należy poprzestawać na narzekaniu na obniżenie się poziomu przygotowania maturzystów, defekty programu szkoły średniej, demoralizację powodowaną przez pozorną łatwość dostępu do informacji itd. Jest jak jest i trzeba się do tego dostosować, a nawet poszukać dobrych stron.

Największym wyzwaniem jest według mnie rehabilitacja logiki i rozumu jako dróg poznania naukowego, a w ostatecznej konsekwencji także i reformowania świata. Na swoich zajęciach staram się zarysowywać problemy i stawiać pytania, jak je rozwiązywać. Na początek sugeruję rozwiązanie "zdroworozsądkowe", które przy okazji przechodzi test poprawności politycznej: ma być tak, jak się ludziom wydaje. Ale potem stawiam pytanie, dlaczego w praktyce jest inaczej. Czyżby ludzie byli powszechnie głupi? Czasem studenci uważają, że rzeczywiście ludzie są głupi. Czasem jednak komuś udaje się zauważyć, że w zarysowanym przeze mnie rozwiązaniu jest coś pominiętego, co musi radykalnie zmienić zastosowaną metodę. Jest to dobra okazja do tego, by pokazać, że rozum się do czegoś przydaje, zaś to, co pozornie poprawne może być zupełnie bezużyteczne.

Innym składnikiem dobrego procesu nauczania jest, według mnie, osiągnięcie równowagi pomiędzy szerokością a głębokością spojrzenia. Lubimy szeroką perspektywę i słusznie zakładamy, że nasi studenci oczekują od nas udokumentowania erudycji. Lubimy przytaczać różne nazwiska i teorie, które potrafią błyskotliwie wyjaśnić to, co nas w otaczającym świecie nurtuje. Ale łatwo wówczas popaść w powierzchowność i dyletantyzm. Mówimy o wielu ciekawych rzeczach, studenci tego chętnie słuchają, choć uzyskana wiedza nie daje im przewagi nad inteligentnymi odbiorcami publicystyki popularno-naukowej. Przewagę taką może dać dopiero odpowiednio pogłębione studiowanie. Sprawienie, by słuchacz był w stanie nie tylko rozumieć, jak się jakiś problem rozwiązuje, ale również go praktycznie rozwiązać. To zaś wymaga mało atrakcyjnego wysiłku intelektualnego, żmudnej pracy nad szczegółami i opanowania warsztatu.

Nie ma co udawać, że rozum jest wysoko ceniony we współczesnym świecie. Ale zamiast narzekać na to, że źle się dzieje, a ludzie są niedouczeni, warto pomyśleć jak sprawić, żeby wiedza naukowa znajdowała uznanie najpierw u naszych studentów, a potem u pracodawców. Nie zagwarantuje to natychmiastowego sukcesu. Sądzę jednak, że pozwoli Wydziałowi Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego na pomyślne zmierzenie się z problemami, które już go dopadły.